

ks. Marek Dziewiecki

***Miłosierny ojciec i marnotrawny syn:
analiza biblijna i psychopedagogiczna***

Wstęp

W uroczystość Niepokalanego Poczęcia Maryi 2015 r. rozpoczęliśmy Jubileuszowy Rok Bożego Miłosierdzia. Przesłanie o Bogu miłosiernym wyszło z naszej Ojczyzny. Jego heroicznym świadkiem stała się św. Siostra Faustyna Kowalska, a największym głosicielem w skali świata stał się św. Jan Paweł II. Rok poświęcony miłosierdziu Boga do człowieka to wezwanie dla nas – wychowawców – do pogłębionej refleksji nie tylko nad naturą Bożego miłosierdzia, ale również nad naturą miłosierdzia w relacjach międzyludzkich, a zwłaszcza w relacji wychowawca-wychowanek.

Celem niniejszej refleksji jest przywrócenie się naturze miłosiernej miłości Boga do błędzącego i grzesznego człowieka w oparciu o znaną nam wszystkim przypowieść Jezusa, który opowiada historię kochającego ojca i jego błędzącego syna. W drugiej części niniejszej refleksji przyjrzymy się psychopedagogicznym wnioskom, czyli temu, w jaki konkretnie sposób wychowawcy powinni naśladować miłosiernego Boga oraz jakich błędów powinni się w tym względzie wystrzegać.

Część I: Przypowieść o wychowaniu, miłości i ocaleniu

Punkt wyjścia: powtórka z Adama i Ewy

Prawdę o miłosiernej miłości Boga do grzeszników w precyzyjny i czytelny sposób wyjaśnia Jezus w przypowieści o marnotrawnym synu i o mądrze kochającym ojcu (por. Łk 15,11-32).¹ Jest to historia młodego człowieka, który daleko odszedł od Boga, całkowicie zagubił się i który w konsekwencji ryzykował popadnięcie w rozpacz. W swojej przypowieści Jezus ukazuje rodzica, który jest symbolem Boga-Ojca. Popatrzmy na najważniejsze aspekty tej historii. Oto młodszy syn postępuje tak, ja ci, którzy w XXI wieku sami siebie nazywają ludźmi „postępowymi” i „nowoczesnymi”. Ten młody dorosły ma własny pomysł na to, jak być szczęśliwym. Chce osiągnąć szczęście w „nowoczesny” sposób, czyli lekko, łatwo i przyjemnie – bez wysiłku, bez pracy w polu, bez czujności, bez zasad moralnych. Oznajmia ojcu, że odchodzi i że chce zabrać swoją część majątku.

¹ Por. J.H. Nouwen, *Powrót syna marnotrawnego*, Poznań 1995.

Taka postawa syna nas nie zaskakuje. To kolejny „postępowy” buntownik, jakich w każdych czasach jest wielu. W rzeczywistości syn marnotrawny wcale nie jest taki „nowoczesny” i „postępowy”, za jakiego się uważa. Przeciwnie, powtarza on najstarsze, najbardziej naiwne, a jednocześnie najbardziej radykalne błędy, jakie popełnili pierwsi ludzie na początku historii. Postawa marnotrawnego syna może nas smucić, ale nie zaskakuje. Raz jeszcze potwierdza się to, że wychowanek nie tylko zagrożony jest z zewnątrz, jak Józef ze Starego Testamentu, który został sprzedany do niewoli przez zazdrosnych i prymitywnych braci. Jest także zagrożony własną słabością i potrafi krzywdzić samego siebie. Syn marnotrawny nie miał pod drzwiami złych kolegów, którzy namawiali go do zła. Nie miał dostępu do Internetu z pornografią i wyuzdaniem. Pod jego drzwiami nie stali dilerzy narkotyków. Nie chodził do szkół promujących wychowanie bezstresowe, spontaniczną samorealizację, prawa bez obowiązków czy ideologię gender. Przeciwnie, miał kochającego ojca, który był wspierającym wychowawcą, symbolizującym miłość i mądrość samego Boga-Ojca. Postawa młodszego syna z przypowieści Jezusa to jeszcze jedno potwierdzenie tego, że do rozwoju i szczęścia potrzebna jest nam pomoc Boga i ludzi, ale do samozniszczenia i rozpaczki wystarczy nam nasza własna słabość. Nikt z nas nie potrzebuje pomocy z zewnątrz, by zniszczyć samego siebie.

O ile słabość i bezmyślność syna z przypowieści Jezusa nie jest dla nas zaskoczeniem, o tyle zaskoczeniem może być to, że ojciec nie próbuje zatrzymać tegoż syna, mimo że go kocha, że jest świadom jego słabości i że z pewnością niepokoi się o los odchodzącego. Czytając przypowieść Jezusa, możemy odnieść wrażenie, że ojciec puszcza syna bez walki. Chciałoby się aż zawołać: „Ojczy, zawalcz jeszcze o syna! Nie daj mu pieniędzy,

których żąda. Wiesz, że twój syn przeżywa wielki kryzys i że wszystko, co dostanie od ciebie, wykorzysta do zła, do niszczenia własnego człowieczeństwa. Niech cię raczej poda do sądu. Zanim wygra, może zdąży zmądrzeć i nie zejdzie na drogę autodestrukcji”.

W rzeczywistości ojciec z przypowieści Jezusa uczynił wszystko, by syn nie odszedł. A co konkretnie zrobił? Kochał! Ten, kto kocha, czyni wszystko, by kochana przez niego osoba nie odeszła od niego, od Boga, od miłości, od wolności, od świętości. Kto kocha, ten czyni wszystko, co możliwe, by kochana osoba wybierała drogę błogosławieństwa i życia, a nie drogę przekleństwa i śmierci. Czy jednak możemy mieć pewność, że ojciec kochał naprawdę? A może jednak kochał za mało albo nie umiał okazywać swojej miłości? Może czasem nie rozumiał syna albo go wręcz krzywdził i dlatego syn postanowił szukać szczęścia daleko od ojca? Otóż ojciec kochał syna, a ten o tym świetnie wiedział! Możemy być tego pewni z tego oczywistego powodu, że odchodzący nie ma ojcu niczego do zarzucenia!

Nie jest łatwo odejść od tych, którzy kochają. Miłość bowiem to najwspanialszy ze wszystkich możliwych sposobów odnoszenia się do drugiej osoby. To takie postępowanie, dzięki któremu tej drugiej osobie chce się żyć zawsze i w każdej sytuacji. Jednak nawet miłość nie determinuje, lecz pozostawia kochanej osobie wolność. Gdy ktoś nie odpowiada miłością na miłość, wtedy nie jest szczęśliwy i łatwo ulega iluzji, że jeśli odejdzie, to wreszcie doświadczy upragnionego szczęścia. Ci, którzy odchodzą od kochających rodziców, od Boga i Kościoła, próbują to jakoś „usprawiedliwić”. Szukają choćby najbardziej grubymi nićmi szytego pretekstu. Zwykle twierdzą, że nie są kochani i że wyłącznie z tego powodu nas opuszczają. Tymczasem marnotrawny syn nie znajduje nawet pretekstu, by „usprawiedliwić”

swoje odejście. Odchodzi mimo tego, że jest kochany i że nie ma ojcu niczego do zarzucenia.²

Może ktoś z rodziców czy innych wychowawców pomyśli, że nawet jeśli ojciec z przypowieści Jezusa aż tak bardzo kochał syna, że ten nie miał mu nic do zarzucenia, to kochający rodzic powinien jeszcze coś do miłości „dołożyć”. Niechby, na przykład, ojciec padł na kolana i błagał syna o pozostanie. Niechby zapłakał i powiedział, że umrze na zawał serca albo że zadreży się psychicznie, jeśli syn odejdzie. Przecież warto nawet uniżyć samego siebie, byle tylko próbować zatrzymać ukochaną osobę, która chce odejść daleko od miłości i od szczęścia! Albo niechby ojciec zastraszył syna. Niechby powiedział mu, że jeśli odejdzie, to nie będzie miał już prawa powrotu, to zostanie wydziedziczony na zawsze i marnie zginie! Albo niechby ojciec zastosował wręcz przymus fizyczny. Niechby kazał swoim sługom, by pilnowali syna dzień i noc, aby nie miał szans się oddalić.

Ojciec z przypowieści Jezusa nie stosuje żadnego z tego typu działań. Nie próbuje dołożyć próśb czy gróźb do miłości, jaką okazuje synowi. Wie bowiem, że do miłości nie da się już niczego dołożyć! Nie ma przecież niż większego, silniejszego, bardziej łączącego ludzi niż miłość! Jeśli ktoś nie reaguje na miłość, to tym bardziej nie zareaguje na prośby i groźby! Gdyby ojciec uniżył się przed synem albo gdy próbował go nastraszyć czy na siłę zatrzymać, wtedy syn i tak by odszedł. Jedyne, co by ojciec „osiągnął”, to dałby synowi pretekst do usprawiedliwienia swego odejścia. Jeśli ktoś z młodych dorosłych, by nam oznajmił, że odszedł od takiego rodzica, który sam siebie nie szanuje, bo pada przed własnym dzieckiem na kolana albo który

jest terrorystą, to byśmy byli skłonni przyznać rację odchodzącemu, a nie rodzicowi.

Trzeba tu doprecyzować, że chodzi o syna, który jest pełnoletni. Pełnoletniość była bowiem warunkiem, by syn mógł zażądać dla siebie części majątku i odejść z domu rodzinnego bez pytania rodziców o pozwolenie. Gdyby odejść chciało niepełnoletnie dziecko, to kochający rodzic ma wręcz obowiązek takie dziecko zatrzymać. Jest bowiem bezpośrednio odpowiedzialny za los tegoż dziecka. Ponadto, ma wielorakie możliwości, by nie pozwolić odejść niepełnoletniemu synowi czy niepełnoletniej córce. Ma formalną władzę rodzicielską, uznawaną przez państwo. Może stosować przymus bezpośredni, na przykład zamknąć drzwi na klucz. Ma też możliwość zawiadomienia policji o ewentualnej ucieczce z domu niepełnoletniego dziecka, a policja ma obowiązek takie dziecko szukać i oddać rodzicom. W skrajnym przypadku, na przykład wtedy, gdy nieletnie dziecko popadło w alkoholizm czy narkomanię, rodzic ma prawo wnioskować do sądu rodzinnego i dla nieletnich o skierowanie syna czy córki na przymusową terapię albo do zamkniętego ośrodka wychowawczego. Wobec pełnoletnich dzieci rodzice tego typu władzy rodzicielskiej już nie posiadają.

Ojciec z przypowieści Jezusa świetnie wie, że jeśli kogoś z pełnoletnich dzieci nie zatrzymamy miłością, to jesteśmy wtedy bezradni z tego oczywistego powodu – powtórzmy to jeszcze raz – że w relacjach międzyludzkich nie ma większej siły niż miłość! Jeśli kto z naszych bliskich czy wychowanków nie reaguje na miłość, to nie tylko my nic na to nie poradzimy, lecz nawet Bóg jest wtedy bezradny. Wprawdzie Bóg jest wszechmocny,

² Por. M. Dziewiecki, *Młodzi w poszukiwaniu szczęścia*, Edycja Św. Pawła, Częstochowa 2003.

ale – jak pokazuje nam to w całej historii zbawienia – jest najpierw miłością. Stwórca używa swojej wszechmocy po to, by kochać, czyli na sposób miłości i w żaden inny sposób. To oczywiste, że gdyby Bóg chciał, to mógłby sparaliżować albo skutecznie zastraszyć tego, kto planuje odejść. Nigdy jednak tego nie uczyni, gdyż Ten, który jest miłością, szanuje naszą wolność nawet wtedy, gdy przybijamy Go do krzyża. Ten, kto kocha, nie używa swojej siły, by ranić, zniewalać, zastraszyć.

Jeśli ktoś z naszych bliskich czy wychowanków odchodzi od Boga i od nas, mimo że go kochamy, to cierpimy, ale też możemy być pewni, że nie ma w tym naszej winy. Winowajcami jesteśmy tylko wtedy, gdy ktoś odchodzi dlatego, że nie kochamy lub dlatego, że krzywdzimy czy że zadręczamy tę drugą osobę. Ojciec z przypowieści Jezusa zrobił wszystko, by syn był przy nim szczęśliwy, gdyż dojrzałe kochał. Mimo to syn okazał się niewdzięczny i bezlitosny wobec kochającego go rodzica. Gdy zażądał części majątku, który już tu i teraz mu się jako pełnoletniemu prawnie należał, to przecież wyraźnie dał przez to do zrozumienia, że nie kocha ojca, że nie czuje się przy nim szczęśliwy i że życzy ojcu śmierci, bo wtedy będzie mógł już bez proszenia się zabrać z bratem całą resztę majątku. Kochany przez ojca syn sam nie kocha. W konsekwencji zastawia na samego siebie najbardziej niebezpieczną pułapkę, jaką może wymyślić człowiek: wmawia sobie, że istniejące łatwo osiągalne szczęście i że do osiągnięcia tego szczęścia nie potrzebuje ani miłości rodziców, ani pomocy Boga, ani czujności i pracy nad własnym charakterem, ani małżeństwa i rodziny. Wystarczą mu wino, dziewczyny i śpiew. Dwa tysiące lat temu Jezus opowiedział przypowieść o typowym „luzaku” z XXI wieku, czyli o człowieku, który uwierzył, że może robić to, co chce jego ciało czy jego popędy i że to wystarczy mu do szczęścia.

Jak reagować na odejście kochanej osoby?

Syn, który nie odpowiada miłością na miłość ojca, opuszcza rodzinny dom i uważa, że ma rację. Jest przekonany, że teraz to już na pewno będzie szczęśliwy. W rzeczywistości okazuje się jeszcze jednym „nowoczesnym” i „postępowym” głupcem, który zaczyna funkcjonować w świecie miłych – początkowo! – fikcji i podąża za toksycznymi iluzjami szczęścia. Jest głupcem z tego powodu, że szuka szczęścia tam, gdzie go nie można znaleźć. Czyni to, co łatwe i przyjemne zamiast tego, co dobre i mądre. Szybko jednak przekonuje się o tym, że na tej drodze nie będzie szczęśliwy. Po oczarowaniu rozrywkowym stylem życia, przychodzi zupełnie zaskakujące go i skrajnie bolesne rozczarowanie. Droga do szczęścia bez Boga i bez miłości okazuje się drogą do poniżenia, głodu i samotnienia. Aby w tej sytuacji przeżyć, marnotrawny syn godzi się być najemnikiem i paść świnię. Odchodząc od kochającego ojca, łudził się, że idzie w kierunku ziemi obiecanej, którą sobie wymarzył. W rzeczywistości zgotował sobie piekło na ziemi.

W tak dramatycznej sytuacji rodzice tej ziemi zwykle nie wiedzą, w jaki sposób postępować wobec błądzącego, jak mu pomóc, w jaki sposób okazywać mu miłość. Trudno jest kochać kogoś, kto nie kocha nawet samego siebie. Większość bliskich kieruje się wtedy uczuciami zamiast miłością, a przez to popada w skrajne postawy. U jednych zwycięża rozżalenie, gniew, złość. Wyrzekają się błądzącego. Przeklinają go i przekreślają na zawsze. Nie pozwalają mu wrócić. Informują go, że nigdy mu nie przebaczą i że nie ma prawa do powrotu. Inni rodzice popełniają błąd przeciwny, czyli za wszelką cenę usprawiedliwiają błądzącego. Okazują się naiwni. Wymyślają tysiące okoliczności „łagodzących”, byle tylko wmawiać sobie, że w sumie nic bardzo

złego się nie stało. Czynią wszystko, aby błędzący nie ponosił konsekwencji swoich błędów i nie cierpiał. W konsekwencji tworzą mu komfort dalszego błędzenia i trwania w grzechu.

Ojciec z przypowieści Jezusa nie wpada w żadną z tych skrajności. Nie kieruje się emocjami. Dzięki temu nadal kocha swojego syna. Nie przekreśla go, ani nie rozpiera. Nie mści się na nim, ale też nie udaje, że nic złego się nie stało. Cierpi, a mimo to daje synowi znaki miłości. Wychodzi na drogę. Wypytuje znajomych o los syna, a ci informują syna o znakach miłości ojca. Jednak w swojej mądrości ojciec nie czyni niczego więcej. Wie, że największym problemem nie jest to, że syn cierpi, lecz to, że błądzi.³

Ktoś może sądzić, że taka postawa ojca świadczy o tym, że kocha on za mało, że wychodzenie na drogę w kierunku marnotrawnego syna to nie jest wystarczające potwierdzenie miłości. Niektórzy z rodziców czy innych wychowawców proponują „poprawić” tę przypowieść i posłać ojca do błędzącego syna. Spróbujmy zatem zrobić tego typu eksperyment i w naszej wyobraźni wysłać ojca do syna. Oto w tej „poprawionej” wersji przypowieści ojciec kocha jeszcze „bardziej”, gdyż osobiście idzie do syna, który doświadcza głodu, poniżenia, osamotnienia. Zawozi mu jedzenie, ubrania i pieniądze. Jest hojny. Przywozi dobre jedzenie, markowe ubrania i dużo pieniędzy! Jakby zareagował wtedy syn na tak mocny znak miłości? W pierwszym odruchu mógłby się nawet szczerze wzruszyć i powiedzieć: *Ojcze, teraz to już jestem pewien, że mnie kochasz! Mówili mi wprawdzie znajomi, że wychodzisz na drogę, że masz przy sobie szaty i pierścień dla mnie, że jesteś gotowy mi przebaczyć, ale ja w to nie wierzyłem. Myślałem, że znajomi chcą*

mnie tylko pocieszyć, bym nie popadł w rozpacz albo nie odebrał sobie życia. Dopuszczałem też taką myśl, że wychodzisz na drogę, ale że robisz to tylko dla oka ludzkiego, czyli po to, aby cię chwalili, jaki to jesteś dobry ojciec. A teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że mnie bardzo kochasz i że tylko z tobą będę szczęśliwy. W tej sytuacji wracam natychmiast do ciebie.

Jednak po chwili wahania prawdopodobnie syn powiedziałby: *tato, to ty już ruszaj do domu, a ja ciebie dogonię, bo jestem przecież młodszy. Tylko pójdę się pożegnać z kolegami, no bo przecież tak wypada, a ty mnie dobrze wychowałeś. I poszedłby pić, ćpać czy współżyć z nierządnicami. Tym razem uczyniłby to za pieniądze ojca, gdyż swoje już zmarnotrawił. Idąc do syna, który jeszcze się nie zastanowił i nie zmienił, ojciec – wbrew swej woli – dobiłby błędzącego. Ułatwiłby mu dalsze błędzenie. Tym razem może aż do tragicznej śmierci. Bóg wie, że dopóki ktoś z ludzi trwa w głębokim kryzysie, to w tej fazie życia nie jest w stanie mądrze skorzystać z naszej pomocy. Ktoś taki kpi sobie z miłości i cierpienia ludzi, a nawet Boga z miłości i cierpienia Boga.*

Po grzechu pierwotnym istnieje dwa rodzaje desek ratunku. Pierwszą deską ratunku jest Bóg i Jego miłość. Syn Boży stał się jednym z nas, by zachwycić nas swoją miłością wierną, nieodwołalną, ofiarną aż do krzyża. Kto z wdzięcznością przyjmuje tę miłość i kto ją naśladuje, ten trwa na drodze zbawienia i rośnie w świętości. Kto jednak – z własnej czy bez własnej winy – nie korzysta z tej pierwszej, radosnej deski ratunku, temu pozostaje już tylko ostatnia deska ratunku, czyli własne, osobiste dotkliwe cierpienie. Ludzie dojrzały biorą sobie do serca cierpienie innych osób. Ludzie przeżywający

³ Por. K. Skwierawski, *Przypowieść o synu marnotrawnym w interpretacji Ojców Łacińskich do św. Augustyna*, Kraków 1982.

głęboki kryzys przestają być wrażliwi na najbardziej nawet dotkliwe cierpienie bliźniego. Także wtedy, gdy oni sami są powodem tego cierpienia.

Osobiste, dotkliwe cierpienie, sięgnięcie dna bólu, to jedyna rzecz, z której sobie nie kpi nawet ten człowiek, który znajduje się w bardzo głębokim kryzysie i który już wiele zmarłotrącił ze skarbu swego człowieczeństwa. To wyłącznie z tego powodu mądrze kochający ojciec nie przeszkadza błądzącemu synowi ponosić konsekwencje popełnianego zła. Nie zsyła mu żadnej kary. Nie mści się. Nie możemy też powiedzieć, że dopuszcza cierpienia, bo przecież syn w ogóle się z ojcem nie konsultuje co do swojego trybu życia. Przeciwnie, ojciec uczynił wszystko, by syn nie cierpiał. Uczynił wszystko, bo ogromnie kochał i mądrze wychowywał. Nic nadto nie jest w stanie uczynić nawet najlepszy wychowawca. Naiwnością byłoby przekonanie, że można uczynić coś więcej i że można być jeszcze kimś lepszym niż ojciec marnotrawnego syna. Nie można! Nie próbujmy kochać „bardziej” od Boga, bo taka próba oznaczałaby tylko jedno: że stalibyśmy się bezgranicznie naiwni i że błądzący całkowicie by nas sobie podporządkowali.

Mądry, a nie tylko dobry ojciec z przyповідzi Jezusa wie, że marnotrawny syn zachowa szansę na ocalenie jedynie wtedy, gdy będzie osobiście cierpiał. Cierpienie, które jest skutkiem popełnianych przez człowieka błędów, stwarza szansę na refleksję i nawrócenie. Otwiera oczy. Mobilizuje do tego, by już dłużej nie oszukiwać samego siebie. Uczy odróżniać dobro od zła. Może jednak ojciec powinien wyjść nieco dalej na drogę w kierunku syna? Może powinien wyjść aż tak daleko, by syn go fizycznie zobaczył, a nie tylko słyszał od znajomych o otwartych ramionach ojca? Otóż Bóg wyszedł do nas aż za daleko! Zwróćmy uwagę na to, kto opowiada nam tę przyповідź? Opowiada ją Ten, który jest

prawdziwym Bogiem i który tak daleko wyszedł ku nam z objawieniem swojej miłości, że stał się jednym z nas po to, byśmy Go dosłownie zobaczyli. On pozwolił potraktować samego siebie gorzej niż mordercę-Barabasz. Pozwolił, by źli ludzie przybili Go do krzyża, byśmy odkryli, że Bóg-człowiek utożsamia się z naszym cierpieniem. On kocha nas do tego stopnia, że twój i mój los jest dla Niego ważniejszy niż Jego własny los! Nic nadto nie może uczynić największy nawet przyjaciel, ani najlepszy wychowawca. Reszta zależy od tego, kto błądzi.

Bóg nie wypomina złej przeszłości

Marnotrawny syn wykorzystuje swoje cierpienie. Jest ono ostatnią deską ratunku dla tych, którzy nie reaguja na miłość Boga i człowieka, ani na cierpienie tych, przez których są kochani. Na skutek własnego cierpienia syn marnotrawny przemienia się w syna powracającego. Odtąd już wie, że lepiej jest być choćby sługą u kochającego ojca niż pozostawać niewolnikiem tego świata albo niewolnikiem własnych słabości. Czy to znaczy, że błądzącego syna uratowało cierpienie? Nie! Ratuje wyłącznie Bóg, a nie cierpienie. Samo cierpienie pomaga nam otwierać oczy na prawdę o sobie, ale nie daje siły do nawrócenia i do powrotu. Potwierdzeniem tej zasady jest los Judasza. Po zdradzeniu Jezusa zrobił sobie uczciwy rachunek sumienia i bardzo cierpiał. Jednak w przeciwieństwie do Piotra, nie poszedł za Jezusem, został sam na sam z własnym cierpieniem, uległ rozpacz i odebrał sobie życie. Samo cierpienie jest ciężarem, a nie siłą. Ono nie ma w sobie mocy, by nas nawracać. Ma natomiast moc, by doprowadzić nas do rozpacz. Pod wpływem cierpienia niektórzy ludzie nawracają się, ale wielu innych poddaje się poczuciu bezsilności, buntuje się na Boga czy staje się ateistami.

Cierpienie skłoniło marnotrawnego syna do powiedzenia sobie prawdy o własnych błędach, ale to nie ono go uratowało. Cierpiącego syna uratowało to, że – podobnie jak Piotr po zaparciu się Jezusa – uwierzył, iż nadal jest kochany. Błędzący i cierpiący człowiek może przemienić się tylko wtedy, gdy uświadamia sobie, że nadal jest kochany przez Boga i Bożych ludzi i gdy sam zaczyna kochać.⁴ Ktoś może jednak twierdzić, że marnotrawny syn wraca wyłącznie dlatego, że jest głodny i że u jego ojca nie brakuje jedzenia. Gdyby jednak tylko o to chodziło, to syn by nie wrócił, lecz raczej zacząłby kraść lub założyłby bandę rzezimieszków i przez jakiś czas znowu dobrze by mu się powodziło. W tej fazie życia synowi chodzi jednak o coś znacznie więcej niż o pokarm dla ciała! On już teraz wie, że jedzenie i dobrobyt nie wystarczą mu do szczęścia. Pamięta przecież lata, gdy opływał we wszystko, zanim roztrwonil majątek, który otrzymał od ojca. Tam też nie był szczęśliwy z tego powodu, że ci, którzy razem z nim jedli i pili, nie kochali go. Oni jedynie wykorzystali jego naiwność i odwrócili się od niego, gdy tylko skończyły mu się pieniądze.

Dla cierpiącego syna jest już oczywiste, że właśnie z powodu braku więzi z tymi, którzy kochają, był nieszczęśliwy w owej dalekiej krainie nawet wtedy, gdy wydawało się, że już niczego mu do szczęścia nie brakowało. Teraz przypomina sobie, że jedynym szczęśliwym okresem w jego życiu były lata spędzone u boku kochającego ojca. To właśnie dlatego podejmuje trud powrotu. Odtąd już nie jest synem marnotrawnym, lecz synem powracającym. Odtąd zasługuje na szacunek i uznanie. Nie jest przecież łatwo

powrócić, gdy ktoś aż tak daleko odszedł od miłości i prawdy, od dobra i piękna, od Boga i bliskich. Nie jest łatwo powiedzieć: ojcie, zgrzeszyłem przeciw Bogu i przeciw tobie!

Powracający nie prosi ojca o jedzenie. Przeciwnie, prosi o to, by mógł odtąd ciężko pracować w polu, w skwarze i pocie czoła – jak najemnicy. Nie ma innych oczekiwań. Nie przychodzi mu nawet do głowy myśl, że ojciec znowu przyjmie go jak syna. Powracający aspiruje już tylko do tego, by być u ojca jednym z wielu najemników. Ku swojemu zdumieniu odkrywa, że jego spotkanie z ojcem zamienia się w radosne święto miłosierdzia i pojednania. Ojciec nie wypomina synowi błędów i grzechów. Nie opowiada o tym, jak długo wychodził na drogę i jak bardzo cierpiał. Nie wspomina o tym, ile ma za sobą nieprzespanych nocy i jak bardzo zszargane jest jego serce. Ojciec w ogóle nie myśli o sobie, ani o swoim cierpieniu. W centrum jego uwagi i w środku jego serca jest powracający syn.⁵ Ojciec wzrusza się głęboko, rzuca się wręcz synowi z czułością na szyję i okazuje ogromną radość, bo oto ocalał się ktoś kochany bezwzględnie i nieodwołalnie! Ojciec wręcza synowi szaty i pierścień na znak odzyskanej godności dziecka Bożego.

Kto powraca do miłosiernego Boga, ten natychmiast odzyskuje wszystko, co dotąd utracił. Nie ma już bolesnej przeszłości. Ma jedynie szlachetną, radosną, świętą teraźniejszość. Może odtąd świętować, gdyż odzyskał dojrzałość, czyli znowu potrafi kochać i pracować. Gdy powraca do nas ktoś, kto nas bardzo rozczarował i zranił, wtedy zwykle – wcześniej czy później – wypominamy mu jego przeszłość i odreagowujemy nasze cierpienia.

⁴ Por. M. Dziewiecki, *Grzech, nawrócenie i świętość*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2014.

⁵ Por. J. Augustyn, *Ojciec wzruszył się głęboko*, Kraków 1992.

Bóg nie czyni tego nigdy! Warto w tym kontekście podkreślić, że nie tylko miłosierny ojciec urządza święto powracającemu synowi. Także syn urządza święto ojcu, bo dzięki swojej przemianie doprowadza do tego, że kończy się już cierpienie ojca. Gdy ktoś z nas lub z naszych bliskich odchodzi daleko od Boga, a następnie powraca, wtedy ratuje Boga przed cierpieniem. Bóg bowiem do tego stopnia pokochał każdego z nas, że – jak wielokrotnie potwierdza to Jezus – utożsamia się z naszym losem i że składa swój własny los w nasze ręce. Podobnie czynią kochający małżonkowie czy rodzice, gdy – na podobieństwo Boga – do tego stopnia kochają swoich bliskich, że świadomie i dobrowolnie uzależniają swój los od losu małżonka czy dziecka.

W encyklice o Bożym miłosierdziu św. Jan Paweł II odwołuje się do przypowieści o marnotrawnym synu i miłosiernym ojcu. Papież-Polak stwierdza: „Ojciec marnotrawnego syna jest wierny swojemu ojcostwu, wierny tej swojej miłości, którą obdarzał go jako syna. Ta wierność wyraża się w przypowieści nie tylko natychmiastową gotowością przyjęcia go do domu, gdy wraca, roztrwoniwszy majątek. Wyraża się ona jeszcze pełniej ową radością, owym tak szczerym obdarowaniem marnotrawcy po powrocie, że to aż budzi sprzeciw i zazdrość starszego brata. (...) Ojciec jest świadom, że ocalone zostało dobro człowieczeństwa jego syna. Wprawdzie zmarnował majątek, ale człowieczeństwo ocalało. Co więcej, zostało ono jakby odnalezione na nowo. Wyrazem tej świadomości są słowa, które ojciec wypowiada do starszego syna: «trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się»».⁶

O tym, że ojciec kocha go nieodwołalnie, syn przekonuje się dopiero wtedy, gdy wraca. Teraz już dosłownie widzi, że ojciec nigdy nie przestał go kochać, że codziennie żył nadzieją, iż syn zastanowi się, ocali i wróci. Dopiero teraz rozumie, że ojciec kochał go nie tylko bezwarunkowo, ale też mądrze! Gdyby ojciec kierował się swoimi przeżyciami, gdyby uległ odruchowi współczucia i próbował chronić syna przed konsekwencjami popełnianych przez tegoż syna grzechów, to błędzący nigdy by się nie zastanowił i nie wrócił, bo nie nacerpiałby się w wystarczający sposób. Trwałby w grzechu tak długo, aż by umarł. Dopóki syn był w kryzysie i błdził, dopóty miał żal i pretensje do ojca, zamiast do samego siebie. Jeśli znajomi mówili mu o tym, że ojciec wychodzi na drogę i czeka na jego powrót, to albo w to nie wierzył, albo myślał, że ojciec postępuje tak jedynie dla oka ludzkiego.

Bunt starszego syna

Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i o jego marnotrawnym synu to opowieść o każdym z nas. To opowieść o spotkaniu dwóch wolności i dwóch miłości: Bożej i ludzkiej. Odzyskując miłość do ojca, powracający syn odzyskuje miłość i szacunek do samego siebie. Staje się odtąd zdolny do tego, by dojrzałe kochać innych ludzi. Nawet tych, których trudno kochać. Sam bowiem przeszedł twardą lekcję życia. Teraz również on stał się specjalistą od mądrej miłości. Będzie odtąd coraz bardziej kochał, bo sam został pokochany miłością ofiarną i miłosierną oraz uświadomił sobie, jak wielką cenę cierpienia zapłacił ojciec za to, że nie przestał kochać. Powracający syn

⁶ Jan Paweł II, *Dives in misericordia*, nr 6.

już nigdy nie zwątpi w to, że ojciec go rozumie i kocha. Już nigdy też nie będzie się łudził, że może być szczęśliwym bez ojca czy wbrew ojcu.

Przypowieść Jezusa odsłania nam jeszcze inną prawdę o człowieku, a mianowicie prawdę o tym, że można formalnie nie odejść od Boga i bliskich, a mimo to nie kochać i nie być szczęśliwym. W takiej sytuacji znalazł się starszy syn. To z jego powodu święto w domu ojca nie jest pełne. Syn, który oficjalnie nie odszedł, buntuje się, że ojciec wyprawia ucztę jego młodszemu bratu. Nie ma ku temu żadnych podstaw. Niczego przecież nie traci na tym, że powraca jego młodszy brat. Ojciec nie krzywdzi tego, który nie odszedł. Nie każe mu się dzielić swoją częścią majątku, a powracający brat długo jeszcze będzie musiał ponosić konsekwencje swego odejścia i pracować w pocie czoła, by odrobić to, co stracił. Wbrew wszelkiej logice starszy brat nie chce uczestniczyć w święcie ocalonego życia. Nie chce zrozumieć, że jemu ojciec codziennie wyprawiał ucztę radości, bo przecież największym świętem dla człowieka nie jest zapłata za pracę, lecz życie u boku kogoś, kto bardzo kocha. Dochodzi do paradoksalnej sytuacji. Oto marnotrawny syn pragnie być choćby najemnikiem u ojca, a zostaje znowu przyjęty jak ukochany syn. Tymczasem jego starszy brat formalnie był cały czas przy ojcu, a w rzeczywistości zachowuje się nie tak, jak syn i współwłaściciel posiadłości, lecz jak jeden z najemników. Nie chce świętować z ojcem i bratem. Woli zabawić się z kolegami.⁷

Bunt starszego brata tylko pozornie jest nielogiczny. W rzeczywistości ten, który pozostał przy ojcu, wpada

w szal na widok powracającego brata z bardzo racjonalnego powodu, a mianowicie z powodu tego, że powracający brat rozbija w proch iluzję o tym, że można być szczęśliwym bez kochającego ojca. A taką właśnie iluzją żył ten, który formalnie nie odszedł, bo nie miał okazji czy zabrakło mu odwagi. Po cichu myślał sobie, że on też któregoś dnia wyrwie od ojca swoją część majątku, odejdzie i będzie szczęśliwy. Tymczasem widzi, że brat, który zrobił taki eksperyment, powraca po strasznym cierpieniu. Teraz to ten starszy syn jest w ogromnym kryzysie, gdyż już wie, że nie będzie szczęśliwy, jeśli odejdzie od ojca, a tu i teraz też nie jest szczęśliwy, bo jeszcze czy znowu nie kocha.

Jezus mógłby nadać inne zakończenie swojej przypowieści. Każdy z nas zna historie ludzi błędzących, którzy nie zastanowili się i nie powrócili do Boga, do bliskich, do życia w prawdzie, miłości i radości. Niektórzy ludzie nie powracają mimo tego, że nie tylko Bóg, ale także bliscy kochają ich bezwarunkowo, nieodwołalnie i mądrze. Gdy zatem kierujemy się zasadami miłosiernej, a jednocześnie mądrej miłości, jakie Jezus wyjaśnia nam w swej przypowieści, to nie mamy gwarancji, że ten, którego kochamy, przestanie błędzić. Czynimy jednak wtedy wszystko, co w naszej mocy, by kochany przez nas człowiek miał szansę zastanowić się i powrócić. Nie popadamy bowiem w naiwność, ani nie tworzymy grzeszącemu komfortu dalszego błędzenia. Jeśli ten ktoś nie powraca, to trwamy w miłości do niego, modlimy się w jego intencji i zawierzamy Bogu tego, którego nie potrafimy uratować naszym wysiłkiem i mocą naszej miłości.

⁷ E. Staniek wyróżnia w omawianej przypowieści pięć stołów: stół szczęścia rodzinnej wspólnoty, stół tego świata, stół świń, stół najemników i na końcu stół separatystyczny starszego syna (por. E. Staniek, *Ewangeliczne uczyty*, Kraków 1985, s. 87-88).

W tym kontekście pojawia się pytanie o to, czy możemy udowodnić temu, kto odszedł i błądzi, że nadal go kochamy? Otóż nie jest to możliwe! Co więcej, im dojrzalej okazujemy miłość człowiekowi, który błądzi, tym bardziej nie rozumie on naszej postawy i z tym większym przekonaniem twierdzi, że nie umiemy go kochać. Dopóki ktoś z naszych bliskich błądzi i grzeszy, dopóki żyje w dalekiej krainie, czyli daleko od Boga, od miłości i od radości, dopóty nie uwierzy w to, że nadal go kochamy. Nie uwierzy w naszą miłość nawet wtedy, gdy oddamy za niego życie i nic na to nie poradzimy. Niemożność udowodnienia miłości temu, kto odchodzi i przestaje kochać wynika z faktu, że w tej fazie swojego życia ktoś taki nie oczekuje od nas miłości. Nie oczekuje miłości z tego oczywistego powodu, że ten, kto kocha, stawia wymagania temu, kto jest w kryzysie.

Miłości oczekują od nas tylko ci, którzy sami kochają. Natomiast ci, którzy błądzą, oczekują od nas czegoś zupełnie innego. Dopóki trwają w kryzysie, dopóty oczekują od nas naiwności, pobłażania, potulności, poczucia bezradności. Oczekują tego, że damy się zastraszyć, że uwierzmy w ich kolejne kłamstwa i obietnice bez pokrycia, że spłacimy potulnie ich kolejne długi, że zapłacimy za nich mandaty, że będziemy brać na siebie konsekwencje popełnianych przez nich błędów, że będziemy udawać, iż nic nie wiemy o tym, że nas zdradzają, okradają czy że nami gardzą. Oczekują tego, że nie będziemy się bronić i nie wezwziemy policji nawet wtedy, gdy nas pobiją czy gdy doprowadzą na skraj rozpacz. W tej sytuacji jedynym sposobem, by „udowodnić” temu, kto nie kocha, że nadal jest przez nas kochany, jest podporządkowanie się jego chorym oczekiwaniom. Jeśli pomylimy miłość z naiwnością, z pobłażaniem złu, z chorą tolerancją czy ze skrajnie naiwną uległością, to wtedy – i tylko wtedy – ci, którzy nie kochają, pochwalą nas

za naszą „miłość” do nich. Jedynym zatem sposobem zadowolenia kogoś poważnie błędzącego jest to, że przestaniemy go kochać po to, by za wszelką cenę udowodnić mu, że go kochamy. Tego typu próba musi skończyć się tragicznie dla obydwu stron.

Ci, którzy wpadli w poważny kryzys, uwierzą w miłość Boga i w naszą miłość jedynie wtedy, gdy się nawrócą i gdy sami zaczną kochać. I ani sekundy wcześniej! Jeśli się natomiast nie nawrócą, to nic im nie da ani nasza miłość, ani ewentualne przebaczenie z naszej strony. Na końcu życia doczesnego Bóg nikogo z grzeszników nie zapyta o to, czy otrzymali oni przebaczenie ze strony tych, których krzywdzili. Zapyta ich jedynie o to, czy się nawrócili i czy zaczęli kochać. Starszy syn z przypowieści Jezusa jest zazdrosny o to, że ojciec okazuje miłosierdną miłość temu, który powraca. Sam uważa siebie za kogoś, kto jest synem idealnym, kto nie ma sobie niczego do zarzucenia i kto ma prawo protestować przeciwko urządzaniu święta nawróconemu bratu. Ów starszy syn okazuje się niemiłosierny wobec swojego brata. Publicznie oskarża brata o to, że roztrwonił majątek z nierządnicami, chociaż przypowieść mówi jedynie o tym, że młodszy brat żył w dalekiej krainie w sposób rozrzutny. Ten, który nie kocha, buntuje się, zamiast świętować. Nie chce świętować ani z powracającym bratem, ani z ojcem. Przeciwnie, zachowuje się arogancko i czyni ojcu wymówki. Dopóki tak będzie postępował, dopóty nie uwierzy, że on też – podobnie jak młodszy brat – jest przez ojca kochany bezwarunkowo i na zawsze. A ojciec nic na to nie poradzi.

Jeśli ktoś z nas nie cieszy się powrotem tych, którzy pobłądzili, to zwykle taka postawa świadczy o tym, że za mało kochamy i że sami jesteśmy mało szczęśliwi. Kto nie kocha, ten nie cieszy się ani z tymi, którzy ciągle kochają, ani z tymi, którzy się nawrócili

i zaczęli kochać. Ktoś taki jest niemiłosierny nie tylko dla bliźnich, ale też wyrządza niemiłosierdną krzywdę samemu sobie. Starszy syn jest niemiłosierny dla samego siebie, gdyż nie wyłącza wniosku z tego, że jego młodszy brat zagubił się i omal nie zginął. Przeciwnie, szantażuje ojca i chce, by ten pozwolił mu zabawiać się życiem, zamiast świętować skarb życia. Chce wejść na przeklętą drogę życia, z której właśnie zszedł jego młodszy brat. Aż trudno w to uwierzyć, ale starszy syn pozostaje tak zaślepiony i tak zniewolony swoimi chorymi iluzjami o łatwym szczęściu, że nadal marzy o tym, by któregoś dnia odejść i być wreszcie „sobą”, czyli żyć na zasadzie chwilowej przyjemności. To kolejny dowód na to, że nie zna granic naiwności człowieka, który nie kocha i nie widzi, że jest kochany.

Starszy syn nie musi definitywnie przegrać życia. Jego postawa tu i teraz nie świadczy o tym, że nie ma już dla niego ratunku. Jego chęć zabawiania się z „przyjaciółmi”, jego agresja wobec świętującego ojca i ocalonego brata, to znaki, że jest nieszczęśliwy i że dotkliwie cierpi. Właśnie to cierpienie, ta pustka serca, która rani i boli, stanowi dla starszego syna szansę na nawrócenie. Jeśli mimo cierpienia okaże się, że nie nawróci się do końca swego życia doczesnego, to nawet wtedy możemy zachować nadzieję na jego zbawienie. Tylko Bóg zna serce, motywy działania, całą historię, a także uwarunkowania i ograniczenia cielesne, psychiczne, moralne i duchowe każdego człowieka. Tylko Bóg wie, co każdy z nas nosi w swoim sercu. I tylko Bóg wie, co dzieje się z poszczególnymi ludźmi w procesie umierania. To przecież jeszcze jedna, chociaż ostatnia już szansa na nawrócenie.

Możemy mieć nadzieję na zbawienie nie także tych, którzy nie powrócili, lecz zakończyli swoje życie doczesne w krainie dalekiej od Boga i od Jego miłości.⁸ Niedawno rozmawiałem z załamaną kobietą. Ze łzami w oczach opowiedziała mi dramatyczną historię swojego brata, który był erotomanem, miał wiele kochanek, prowadził rozwiązły tryb życia. Jeszcze bardziej boleśnie zaczęła płakać wtedy, gdy wyznała, że jej brat odebrał sobie życie. Wtedy wyjaśniłem mojej rozmówczyni, że – paradoksalnie! – właśnie to samobójstwo jest znakiem nadziei na zbawienie. Oznacza bowiem, że ów człowiek aż tak radykalnie nie zgadzał się z własnym postępowaniem, że sam na siebie się zbuntował i że odebrał sobie życie. Zrozumiał, że postępował w sposób niegodny otrzymanej od Boga godności. Ten bunt wobec dotychczasowego sposobu życia, wyrażający się w podniesieniu ręki na samego siebie, mógł być pierwszym krokiem ku nawróceniu. Miłosierdzie Boga jest równie nieskończone jak wyobrażenia Jego miłości. To właśnie dlatego w Niebie dowiemy się o nawróceniu wielu takich ludzi, o których myśleliśmy, że nie zdążyli się nawrócić.

Część II: Sugestie psychopedagogiczne

Demaskować niemiłosierdzie pedagogicznych ideologii i niektórych dorosłych

Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i o jego marnotrawnym synu, który się nawraca i który ma do kogo powrócić, otwiera nam oczy na to, że każdy człowiek, a tym bardziej wychowanek, to ktoś kochany i wielki w swoim człowieczeństwie, a jednocześnie to ktoś

⁸ Por. M. Dziewiecki, *Odzyskana miłość*, Wydawnictwo M, Kraków 2014.

zagrożony swoją własną słabością oraz negatywnymi naciskami, płynącymi ze środowiska zewnętrznego. To właśnie dlatego wychowawcą mądrym i miłosiernym może być wyłącznie ktoś, kto jest realistą, czyli kto bierze pod uwagę nie tylko możliwości, ale też ograniczenia i słabości danego wychowanka. Tylko wychowawca-realista jest w stanie chronić dzieci i młodzież nie tylko przed demoralizatorami, lecz także przed nimi samymi, czyli przed ich własną naiwnością i słabością.

Pierwszym warunkiem bycia miłosiernym i jednocześnie mądrym wychowawcą jest demaskowanie niemiłosiernych dla wychowanków ideologii pedagogicznych, które już od kilkadziesiąt lat są nachalnie promowane, a nawet wręcz narzucane w ramach „politycznej poprawności”, wymyślonej przez nową lewicę. Jedną z takich niemiłosiernych ideologii pedagogicznych jest zachęcanie wychowanków do ucieczki od rzeczywistości i logicznego myślenia w irracjonalizm i subiektywizm. Coraz więcej wychowawców głosi tezę, że w odniesieniu do człowieka wszystko jest subiektywne i że każdy ma prawo kierować się w życiu swoją „prawdą”. Nic zatem dziwnego, że na początku XXI wieku coraz więcej ludzi – i to nie tylko nastolatków – wierzy w horoskopy i zabobony, we wróżby i przepowiednie. W konsekwencji coraz mniej ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że ich los doczesny i wieczny nie zależy od ich subiektywnych przekonań, lecz od obiektywnych faktów i uwarunkowań, a zwłaszcza od ich zachowania tu i teraz.

W irracjonalizm i subiektywizm popadają ci, którzy powinni być specjalistami od trzeźwego myślenia i od respektowania prawdy o człowieku, czyli właśnie wychowawcy: rodzice,

nauczyciele, pedagodzy i psycholodzy. W konsekwencji postawienia subiektywizmu, a także tak zwanego „pozytywnego myślenia” i „pozytywnego obrazu siebie” w miejsce myślenia racjonalnego, współczesna pedagogika w dużym stopniu zamieniła się w antypedagogikę, a wychowanie zamieniło się w niemiłosierne rozpieszczanie. Popatrzmy na najbardziej szkodliwe z ideologicznych mitów we współczesnej pedagogice, które oddalają wychowanków od twardej rzeczywistości, a przez to uniemożliwiają młodym ludziom osiągnięcie trwałego szczęścia.⁹

Mit pierwszy to ideologiczna wiara w tak zwany spontaniczny rozwój i spontaniczną samorealizację wychowanka. Już od kilkadziesiąt lat wielu pedagogów i psychologów podtrzymuje ideologiczne przekonanie o tym, że wychowanek rodzi się wewnętrznie harmonijny i bezkonfliktowy i że sam sobie nigdy krzywdy nie wyrządzi. Kto ulega tej ideologii, ten wierzy w to, że wychowanie polega jedynie na tym, by wczuwać się empatycznie w potrzeby wychowanka, by go we wszystkim bezwarunkowo akceptować i by równie bezwarunkowo wierzyć w jego możliwości samorozwoju – bez wysiłku i dyscypliny, bez czujności i pracy nad sobą, bez pomocy Boga i wychowawców. Tego typu utopię antropologiczną i pedagogiczną głosił najpierw J.J. Rousseau, a kilkadziesiąt lat temu powtórzył C. Rogers. Nikt z nas nie spotkał nigdy kogoś, kto w sposób spontaniczny i bez wysiłku stał się dojrzałym człowiekiem, ale ideologiczny mit o spontanicznej samorealizacji nadal podtrzymywany jest nawet przez niektórych wychowawców katolickich.

Mit drugi to ideologiczna wiara w wychowanie bez stresów. To mit podobnie absurdalny i naiwny, co mit

⁹ Por. M. Dziewiecki, *Wychowanie w dobie ponowoczesności*, Jedność, Kielce 2002.

o spontanicznej samorealizacji wychowanka. Oczywiście jest to, że stres nie powinien być zaplanowanym elementem wychowania, w przeciwieństwie do norm moralnych czy wartości. Równie oczywiste jest to, że wychowawcy powinni tak postępować, by sami nie stali się źródłem niezawinionego stresu dla ich wychowanków. Przeciwnie, powinni odnosić się do nich z ciepłem, szacunkiem, cierpliwością i miłością. Gdy jednak mimo tego ktoś z wychowanków błędzi, wtedy potrzebuje on informacji zwrotnej o naturalnych konsekwencjach popełnianych przez siebie błędów czy zaniechań. Te naturalne konsekwencje – a nie kary! – są z definicji nieprzyjemne. Im większy ktoś popełnia błąd, tym bardziej bolesne są konsekwencje w postaci stresu i cierpienia. Ideologicznym mitem jest przekonanie, że bez doświadczenia bolesnych konsekwencji własnych błędów, wychowanek wyciągnie z nich wnioski i więcej ich nie powtórzy. Doświadczenie pokazuje, że czasem nawet wyjątkowo bolesne stresy nie wystarczają, by ktoś przestał krzywdzić samego siebie czy bliźnich. Mit o wychowaniu bezstresowym prowadzi do sytuacji, w której rodzice czy nauczyciele rozpieszczają wychowanka, zamiast go wychowywać. A wychowanek rozpieszczany nie poradzi sobie z życiem i będzie coraz bardziej zestresowany, bo życie – przynajmniej czasami – wymaga, by zmierzyć się z twardą rzeczywistością. Tak zwane wychowanie bezstresowe w szkole oznacza w praktyce, że jedynymi niestresowanymi są ci, którzy stresują wszystkich innych.

Mit trzeci to twierdzenie, że szkoły i wychowawcy powinni być neutralni światopoglądowo. Absurdalność tego mitu jest oczywista dla każdego, kto myśli w sposób racjonalny i logiczny. Światopogląd – jak sama nazwa wskazuje – to przecież zespół poglądów danej osoby czy grupy ludzi na temat świata i człowieka, na temat

hierarchii wartości i podstawowych zasad moralnych, na temat kryteriów ludzkiej dojrzałości i sensu życia. Neutralność światopoglądowa w wychowaniu musiałaby oznaczać, że dany wychowawca traktuje jako równie dobry absolutnie każdy rodzaj poglądów i postępowania ze strony wychowanka. W wychowaniu „neutralnym” światopoglądowo uczciwość, pracowitość i odpowiedzialność musiałaby być tak samo traktowana jak cynizm, przestępczość czy zachowania samobójcze. Wychowanek mógłby bowiem zawsze zadeklarować, że jego sposób postępowania jest zgodny z jego światopoglądem, a „neutralna” światopoglądowo szkoła musiałaby taką deklarację bezwzględnie respektować, nawet w obliczu zachowań przestępczych czy działań samobójczych. Zwykle za postulatem wychowania neutralnego światopoglądowo kryje się nie tyle skrajna naiwność, co raczej skrajny cynizm. Chodzi bowiem o to, by – zasłaniając się sloganem neutralności – nowa lewica mogła wyeliminować z systemów pedagogicznych wszystkie inne światopoglądy poza... własnym.

Mit czwarty to twierdzenie, że wolność, demokracja i tolerancja stanowią najwyższe wartości w wychowaniu. Te mity są równie popularne, co absurdalne. Wolność można przecież aż tak błędnie wykorzystywać, że się ją zupełnie straci, na przykład popadając w uzależnienia. Z kolei demokratyczną większością głosu można podejmować zbrodnicze decyzje i pozwalać na przejęcie władzy przez tych, którzy dręczą obywateli, a nie troszczą się o ich rozwój. Niemniej groźne jest absolutyzowanie tolerancji, gdyż to oznacza zakaz odróżniania dobra od zła oraz przyzwolenie na wszystko, łącznie z zachowaniami przestępczymi. Jeśli bowiem nie istnieje wartość większa od tolerancji, to nie ma podstaw, by tolerancję w czymkolwiek ograniczać. W rzeczywistości największą wartością na Ziemi jest człowiek.

Na drugim miejscu są te wartości, które chronią godność i rozwój człowieka, czyli prawda, miłość i odpowiedzialność. Oderwanie wolności, demokracji i tolerancji od tych podstawowych wartości prowadzi do cywilizacji śmierci i do samozniszczenia człowieka.

Podporządkowanie się wychowawców modnym obecnie pedagogicznym mitom i ideologicznym naciskom nowej lewicy prowadzi do niezwykle bolesnych konsekwencji dla wychowanków i dla całego społeczeństwa. Jeszcze nigdy w historii Europy nie mieliśmy wśród nastolatków tylu co obecnie uzależnionych od alkoholu i narkotyków, tylu przestępców i samobójców, tylu zaburzonych emocjonalnie i niezdolnych do założenia rodziny, a nawet do podjęcia pracy zawodowej. Okazuje się jednak, że nawet w obliczu tak wielkiego cierpienia wychowanków znaczna część pedagogów i systemów pedagogicznych nie reaguje na rzeczywistość i podtrzymuje irracjonalne, ideologiczne mity o wychowaniu przez... brak wychowania.

Niemiłosierni stają się nie tylko ci wychowawcy, którzy podporządkowują się ideologicznym mitom na temat natury człowieka i wychowania. Niemiłosierni są również ci, którzy idealizują dzieciństwo i mówią wiele o prawach młodego pokolenia, ale nie przyznają dzieciom najważniejszych praw: prawa do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, prawa do rozwoju w kochającej się i trwałej rodzinie, prawa do realistycznego rozumienia siebie i świata, prawa do wrażliwości moralnej, do wolności od uzależnień, do miłości i odpowiedzialności. Niemiłosierni są ci dorośli, którzy w bezlitosny sposób bogacą się kosztem dzieci. Odnosi się to zwłaszcza do ludzi związanych z produkcją i sprzedażą alkoholu, narkotyków, antykoncepcji, pornografii. Całe gałęzie przemysłu i usług bazują na nieszczęściu oraz słabościach dzieci i młodzieży. Większość środków przekazu, a zwłaszcza wydawnictw

młodzieżowych, wyrządza młodym krzywdę, szerząc „rozrywkowe” podejście do życia, do miłości i seksualności, na zasadzie: *rób co chcesz!* Za każdym z tych zjawisk kryje się ogromne cierpienie fizyczne, psychiczne, duchowe i moralne dzieci i młodzieży.

Jeszcze jedną z form krzywdzenia wychowanków przez dorosłych, z zwłaszcza przez wychowawców, jest mylenie miłosierdzia z jego imitacjami czy karykaturami. Miłosierdzie niemiłosierne pojawia się wtedy, gdy mylimy je z pobłażaniem złu, z naiwną dobrotliwością czy z komunikowaniem przebaczenia komuś, kto nie uznał jeszcze swoich grzechów, nie nawrócił się, nie przeprasza, nie wynagradza wyrządzonych przez siebie krzywd. W książce „Ziemia, planeta ludzi”, A. de Saint-Exupéry wspomina spotkanie w nocnym pociągu z grupą polskich górników, którzy w 1937 r. utracili pracę w kopalniach i z całymi rodzinami wracali z Francji do Polski. Byli zmęczeni i smutni.

Obserwując mężczyznę i kobietę, którzy przytuleni do siebie, spali na podłodze wagonu trzeciej klasy, Exupéry dostrzegł ich śpiące dziecko. „Cóż to była za twarzyczka! Z tej pary narodził się ten jakby złocisty owoc. Z tych ciężkich łachmanów zrodziło się arcydzieło piękna i wdzięku. Pochyliłem się nad gładkim czołem, delikatnym zarysem ust i powiedziałem do siebie: oto muzyk, dziecięcy Mozart, piękna zapowiedź życia. Mali książęta z bajki nie mogli być inni: otoczony opieką i staraniem, kształcony, wychowany, kim mógłby zostać! Kiedy drogą skrzyżowań uzyskuje się nowy gatunek róży, wszyscy ogrodnicy są poruszeni. Izoluje się tę różę, pielęguje, otacza dbałością. Ale nie ma ogrodnika dla ludzi. Mały Mozart trafi pod walce maszyny. Największe swoje wzruszenie będzie czerpał z banalnej muzyczki w zachu tancbudy. W każdym z tych ludzi, w jakimś stopniu, został Mozart zamordowany. Tylko Duch, jeśli tchnie

na glinę, może stworzyć Człowieka”.¹⁰ Jakże aktualna jest ta refleksja Saint-Exupéry’ego sprzed kilkudziesięciu lat. Jakże wielu dzieciom w naszej Ojczyźnie – z winy nas, dorosłych – grozi znowu nie tylko ubóstwo materialne, ale także to najbardziej groźne i bolesne: ubóstwo duchowe. Jakże wielu dzieciom grozi, że zadowolą się zaduchem trzeciorzędnej dyskoteki, albo czwartorzędną ideologią o istnieniu łatwego szczęścia: bez autorytetów i zasad moralnych, bez dyscypliny i pracy nad sobą, bez miłości i odpowiedzialności. Jakże wiele dzieci wokół nas i w naszych domach jest głodnych miłości, czułości, poczucia bezpieczeństwa.

Miłosierdzie w wychowaniu

Boże miłosierdzie to wyjątkowe błogosławieństwo, którego potrzebuje każdy z nas, gdyż każdy jest grzeszny.¹¹ Miłosierdzia od Boga i ludzi potrzebują także wychowankowie – dzieci i młodzież. We wczesnym dzieciństwie synowie i córki potrzebują miłosierdzia zwłaszcza ze strony rodziców, w postaci cierplivej obecności, czulej miłości oraz serdecznej troski. Przejawem miłosiernej miłości rodziców jest katolickie wychowanie, bez którego młodzi nie poradzą sobie z życiem. Gdy syn czy córka wchodzi w okres dorastania, potrzebują innych form miłosiernej miłości. Czasem dorastające dzieci postępują w oparciu o metodę prób i błędów, zamiast słuchać Boga i kierować się Dekalogiem. Czasem krzywdzą samych siebie, albo są krzywdzeni przez zdemoralizowanych rówieśników czy przewrotnych dorosłych. Bywa, że – jak marnotrawny syn – oddalają się od Boga, odchodzą

od rodziców, uciekają ze szkoły, rezygnują z własnych marzeń i ideałów, roztrwanią swoje człowieczeństwo, swoją wolność, czystość, powołanie do świętości.

Św. Jan Paweł II wyjaśnia, że „miłosierdzie – tak jak przedstawił je Chrystus w przypowieści o synu marnotrawnym – ma wewnętrzny kształt takiej miłości, którą w języku Nowego Testamentu nazwano *agape*. Miłość taka zdolna jest do pochylenia się nad każdym synem marnotrawnym, nad każdą ludzką nędzą, nade wszystko zaś nad nędzą moralną, nad grzechem. Kiedy zaś to czyni, ów, który doznaje miłosierdzia, nie czuje się poniżony, ale odnaleziony i „dowartościowany”. Ojciec ukazuje mu nade wszystko radość z tego, że „się odnalazł”, z tego, że „ożył”. A ta radość wskazuje na dobro nienaruszone: przecież syn, nawet i marnotrawny, nie przestał być rzeczywistym synem swego ojca; wskazuje także na dobro odnalezione z powrotem: takim dobrem był w przypadku marnotrawnego syna powrót do prawdy o sobie samym. Przypowieść o synu marnotrawnym wyraża w sposób prosty i dogłębny rzeczywistość nawrócenia”.¹²

W powyższych słowach papież-Polak ostrzega przed interpretowaniem miłosierdzia jako wyniosłego litowania się nad grzesznikiem, okazywanego na zasadzie, że ten, kto zawinił, nie jest już w stanie niczego zmienić i zdany jest jedynie na wspaniałomyślność tego, wobec kogo zawinił. Tak rozumiane miłosierdzie, czyli miłosierdzie myłone z litością, prowadziłoby do tego, że człowiek, któremu byśmy takie miłosierdzie okazywali, czułby się poniżony, zawstydzony, niegodny miłości.

¹⁰ A. de Saint-Exupéry, *Ziemia, planeta ludzi*, PIW, Warszawa 1993, s. 119.

¹¹ Por. M. Dziewiecki, *Oblicza Bożego miłosierdzia*, Radom 2015.

¹² Jan Paweł II, *Dives in misericordia*, nr 6.

Kto myli miłosierdzie z litością, ten nie widzi w grzeszniku jego możliwości przemiany, nawrócenia, duchowego odrodzenia i powrotu na błogosławioną drogę życia. Miłosierdzie, jakie okazuje nam Bóg, jest przejawem miłości, a nie litości. To właśnie dlatego jest ono zawsze połączone z wezwaniem, by człowiek grzeszny już więcej nie grzeszył i żeby mu się coś jeszcze gorszego nie przydarzyło.

Prawdziwe miłosierdzie to nie poniżająca błędącego człowieka litość, która go ze wszystkiego rozgrzesza – bez jego współpracy i bez jego współdziałania. Boże miłosierdzie to respektująca godność człowieka i mobilizująca go do rozwoju miłość.¹³ Gdy Bóg okazuje nam miłosierdzie, to widzi w nas nie tylko naszą złą przeszłość czy naszą grzeszną terażniejszość, ale także naszą nieskończoną godność kogoś stworzonego na obraz i podobieństwo Stwórcy i zdolnego do stawania się w Jezusie kimś nowym i świętym. To właśnie dlatego miłość miłosierna, którą okazuje nam Bóg, zawsze wiąże się z miłością wymagającą. Gdy Stwórca przebacza nam zło, którego żeśmy się dopuścili, to nie czyni tego po to, byśmy uznali popełnione przez nas zło za sprawę zamkniętą, lecz po to, by mobilizować nas do dobrej, szlachetnej terażniejszości. Wyraźnie widać to w sakramencie pokuty i pojednania. Jeśli chcemy uzyskać odpuszczenie naszych grzechów, to nie wystarczy, że te grzechy wyznamy i że szczerze za nie żałujemy. Konieczne jest jeszcze mocne postanowienie poprawy, czyli stanowcze postanowienie, że odtąd będę żył w sposób godny mojej ludzkiej godności, którą odzyskałem dzięki doświadczeniu miłosiernej miłości Boga.

Jeśli zgrzeszyliśmy przeciw Bogu i ludziom, to naszym zadaniem nie jest jedynie oczekiwanie miłosierdzia i przebaczenia – bez podjęcia z naszej strony trudu radykalnej zmiany własnego życia. Gdybyśmy ograniczali nasze oczekiwanie i naszą nadzieję do tego, że ktoś nam nasze winy daruje, to sami byśmy redukowali miłosierdzie do litości. Sami też byłibyśmy dla siebie niemiłosierni. Wmawialibyśmy sobie, że nie jesteśmy w stanie nawrócić się i postępować w sposób, który wzbudza radość Boga i ludzi. Dłużnik z przypowieści Jezusa nie oczekiwał litości od wierzyciela. Nie padł przed nim na kolana po to, by błagać o darowanie długu, lecz by prosić o możliwość spłacania tegoż długu w ratach. Dopiero wtedy usłyszał, że oto wierzyciel cały dług mu daruje. Miłosierdzie, które Bóg nam okazuje, nie stawia nas w pozycji kogoś, kto stracił kontrolę nad własnym życiem, albo zdany jest już tylko na czyjąś wyrozumiałość i litość. Boże miłosierdzie to forma cierpliwej miłości, która mobilizuje nas do tego, byśmy również my zaczęli kochać i byśmy stawali się coraz bardziej podobnymi do Boga.

Być miłosiernym wobec wychowanków w dojrzały sposób to naśladować miłosierdzie Boga. On kocha nas także wtedy, gdy my nie kochamy. On przebacza nam także wtedy, gdy my nie przebaczymy – ani sobie, ani bliźnim. On nas szuka także wtedy, gdy my się przed Nim chowamy. On przebacza nam w swym sercu uprzedzająco, czyli zanim Go o to poprosimy. Jego miłosierdzie nie ma jednak nic wspólnego z litością, naiwnością czy pobłażliwością. Ojciec z przypowieści Jezusa okazał błędzącemu synowi swoją miłosierdną miłość wtedy, gdy syn wrócił przemieniony. I ani sekundy wcześniej.

¹³ Por. M. Dziewiecki, *Wychowanie chrześcijańskie w praktyce*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2012.

Mile brzmiące hasła „poprawnych” politycznie ideologii w pedagogice okazują się przewrotne, gdy tylko pokażemy ich praktyczne konsekwencje. Jednak samo demaskowanie absurdalnych konsekwencji toksycznych ideologii nie wystarczy, żeby wychowywać dzieci i młodzież na dojrzałych i szczęśliwych ludzi, czyli na takich, którzy potrafią realistycznie myśleć, wiernie kochać i solidnie pracować. Receptą na toksyczne ideologie jest powrót do realizmu w wychowaniu. Oto podstawowe cechy oraz kompetencje pedagogów – realistów.¹⁴

Realistyczne rozumienie wychowanka. Pedagog, który nie kieruje się żadną ideologią, lecz obserwuje wychowanka, z łatwością dostrzega, iż być człowiekiem – zwłaszcza w wieku rozwojowym – to być kimś wielkim i jednocześnie kimś wielce zagrożonym. Wychowanek jest wielki, gdyż może nauczyć się myśleć i kochać. Z drugiej strony jest kimś jedynym na tej Ziemi, kto jest zagrożony nie tylko przez naiwnych czy przewrotnych ludzi, ale kto potrafi skrzywdzić samego siebie. W związku z tym wychowawca-realista rozumie, że przynajmniej czasami powinien chronić wychowanka przed nim samym oraz kochać go nawet wtedy, gdy wychowanek nie potrafi już kochać samego siebie i gdy staje się obojętny nawet na własny los.

Realistyczne rozumienie poszczególnych sfer wychowanka. Wychowawca-realista rozumie, że wychowanek to nie tylko ciało, emocje i subiektywne przekonania (dostrzeganie jedynie tych sfer jest obecnie politycznie i pedagogicznie „poprawne”), ale to także ktoś, kto ma wrażliwość moralną, duchową, religijną i społeczną. Ponadto realizm polega na tym, że wychowawca zna rzeczywiste

zagrożenia, a także kryteria dojrzałości we wszystkich tych sferach. Dla przykładu rozumie, że wychowanek może stać się niewolnikiem lub wrogiem własnego ciała, a dojrzałość polega na trosce o zdrowie po to, by za pomocą ciała wyrażać miłość poprzez fizyczną obecność, ofiarną pracowitość i czystą czułość. Podobnie wychowawca-realista rozumie, że wychowanek potrafi aż tak błędnie posługiwać się swoją zdolnością myślenia, że zaczyna oszukiwać samego siebie, a dojrzałość polega na odwadze obserwowania życia własnego i innych ludzi oraz na wyciąganiu logicznych wniosków z tychże obserwacji. Wychowawca-realista rozumie też, że wychowanek potrafi mieszać dobro ze złem, a nawet zupełnie zatracić wrażliwość moralną. Dojrzałość w tej sferze oznacza, że wychowanek dysponuje inteligencją moralną, czyli trafnie odróżnia te zachowania, które go rozwijają, od tych zachowań poprzez które krzywdzi samego siebie czy innych ludzi.

Realistyczne rozumienie celów wychowania. Wychowawca-realista zdaje sobie sprawę z tego, że najważniejszym celem wychowania nie jest osiągnięcie sprawności fizycznej czy kompetencji zawodowych, gdyż zdrowy przestępca czy nieuczciwy, chociaż wykształcony, fachowiec nie jest chlubą w żadnym systemie pedagogicznym. Wychowawca-realista rozumie, że najważniejszym celem wychowania jest uczyć wychowanka realistycznie myśleć i dojrzałe kochać. Ten bowiem, kto nie umie myśleć, a stara się kochać, będzie naiwny i uwięziony w toksyczne więzi z tymi, którzy nie kochają. Ten z kolei, kto potrafi precyzyjnie i logicznie myśleć, ale nie chce czy nie potrafi kochać, stanie się kimś przewrotnym i niemiłosiernym.

¹⁴ Por. M. Dziewiecki, *Jak pomagać młodzieży w rozwoju?*, Nasza Przyszłość, Szczecinek 2009.

Realistyczne rozumienie metod wychowawczych. Wychowawca-realista rozumie, że w procesie wychowania nie można obdarzać wychowanka wolnością, do której jeszcze nie dorósł, czy zaufaniem, które nie ma podstaw w jego dotychczasowym postępowaniu. Realizm wychowawczy polega na świadomości, że w każdej epoce wychowanie nie jest możliwe bez stawiania jasnych wymagań i granic, bez regulaminu i dyscypliny, bez klasówek i sankcji proporcjonalnych do ewentualnych błędów, popełnianych przez wychowanka. Wychowawca-realista zdaje sobie sprawę, że wychowywać to jednocześnie kochać i wymagać. To fascynować wychowanka perspektywą rozwoju, to demaskować zagrożenia i demoralizatorów oraz roztropnie reagować na to, co czyni wychowanek. Jeśli postępuje mądrze, to wychowawca powinien go wspierać, a jeśli błądzi, to wychowawca powinien dopuścić, by ponosił konsekwencje swoich błędów.

Jest jeszcze jedno ważne kryterium realizmu w wychowaniu. Otóż wychowawca-realista to ktoś, kto ma wychowawczą mentalność zwycięzcy.¹⁵ Oznacza to, że taki wychowawca ma odwagę proponowania wychowankowi wyłącznie optymalnej drogi życia, czyli drogi mniej uczęszczanej, drogi dla elit, drogi dla tych, którzy chcą wygrać życie, a nie jedynie zremisować życie, albo zadowolić się nieznaczną porażką. Wychowawca-realista ma świadomość, że proponując wychowankowi drogę średnią, czy postępowanie zgodne z tym, co czyni tak zwana większość społeczeństwa, będzie wychowywał jedynie średniaków

i ludzi miernych. Realizm wychowawczy to świadomość, że wymagając niewiele, nie osiągniemy w wychowaniu niczego; wymagając dużo, mamy szansę osiągnąć wszystko. Kochać wychowanków to pomagać im w nieustannym rozwoju, a akceptować to wmawiać im, że nie muszą się już rozwijać, lecz że mogą pozostać takimi, jakimi są teraz. Biada nam, jeśli wychowankowie pytają nas tylko o to, czy to albo tamto zachowanie to grzech, a nie pytają nas o to, co dobrego warto czynić.

Pierwszą i najważniejszą formą miłosierdzia ze strony wychowawców jest okazywanie wychowankom miłości, niezależnie od postępowania danego chłopaka czy dziewczyny.¹⁶ Nie-miłosierni są rodzice czy inni wychowawcy, którzy okazują jedynie miłość warunkową, albo którzy wręcz szantażują wycofaniem miłości, gdy ktoś z wychowanków pobłądzi. Jeszcze bardziej okrutni są ci, którzy straszą dzieci czy nastolatków, że nawet Bóg przestanie ich kochać wtedy, gdy zrobią coś złego. Druga – obok bezwarunkowej miłości – forma miłosierdzia to stanowcze chronienie wychowanków przed demoralizatorami, a także przed nieludzkimi ideologiami. Być dojrzałym miłosiernym wobec wychowanków to kochać i wymagać. Każde dziecko i nastolatek potrzebuje wsparcia w postaci miłości i klimatu bezpieczeństwa. Z drugiej strony potrzebuje jasnych norm moralnych, twardych zasad dyscyplinarnych, mądrej hierarchii wartości oraz trudnych, ale realistycznych celów. Być wychowawcą miłosiernym to naśladować Chrystusa, który najbardziej kocha – bo aż do oddania życia –

¹⁵ Por. M. Dziewiecki, *Od urwisa do bohatera. Wychowanie moralne, duchowe i religijne chłopców*, eSPe, Kraków 2013.

¹⁶ J.H. Nouwen podkreśla, że w tym względzie niezastąpiona jest rola dojrzałych ojców, których obecnie jest niestety coraz mniej w naszych społeczeństwach. W konsekwencji tym większa jest odpowiedzialność kapłanów za pełnienie posługi duchowego ojcostwa (por. J. H. Nouwen, *Zraniony uzdrowiciel. Kapłan we współczesnym świecie*, Poznań 1994).

i który jednocześnie stawia najwyższe wymagania, bo chce, byśmy stawali się podobni do Niego i kochali tak, jak On pierwszy nas pokochał.

Warto pamiętać o jakże trafnej obserwacji A. de Saint-Exupéry'ego: „Jeśli w jakiejś glebie, a nie w żadnej innej, pomarańcze zapuszczają głębokie korzenie i wydają obfite owoce, to tamten teren jest prawdziwy dla pomarańczy. Jeśli określona religia, kultura, hierarchia wartości czy forma aktywności, a nie coś innego sprawia, że w człowieku rodzi się coś wielkiego, przekraczającego jego własne granice, to znaczy, że ta religia, kultura, hierarchia wartości czy forma aktywności stanowi prawdę o człowieku”¹⁷. Dopóki dorośli będą uciekać od tej prawdy, dopóty kolejni wychowankowie będą czerpać największe swoje wzruszenie z *banalnej muzyczki w zaduchu tancbudy* i dopóty będzie w nich uśmiercana *twarz muzyka, dziecięcy Mozart, piękna zapowiedź życia*¹⁸.

Zakończenie

Przypowieść o mądrze kochającym ojcu i jego marnotrawnym synu, opowiedziana przez Jezusa, to najlepszy, najbardziej precyzyjny podręcznik wychowania, jaki pojawił się w historii ludzkości. To podręcznik cierpliwej, wychowującej miłości, której zasady sprawdzają się w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Wychowanie, jakie marnotrawny syn otrzymał od mądrze kochającego ojca, nie poszło na marne. Nawet wtedy, gdy niewdzięczny syn był już na dnie, pozostała w nim podstawowa uczciwość.¹⁹ Musiał to

dostrzegać nawet właściciel świń, który go najał do najbardziej dla żyda upokarzającej pracy, czyli do pasienia świń. Wiedział, że nie musi zakazywać mu jedzenia strąków, którymi te świny się żywiły. Wystarczyło, że tych strąków mu nie dawał. Wychowanie to najważniejszy przejaw miłosiernej i mądrej miłości dorosłych do dzieci i młodzieży. Wychowawca na wzór Jezusa to wielki dobroczyńca ludzkości.

Warunkiem stawania się wychowawcą miłosiernym na wzór Boga, czyli wychowawcą dobrym i mądrym, jest cierpliwe wychowywanie najpierw samego siebie – z pomocą Boga i Bożych ludzi. Z drugiej strony dojrzały wychowawca wie, że nie jest ideałem, bo nie jest Bogiem. Mimo to ma odwagę, by proponować wychowankom wyłącznie najlepszą drogę życia nawet wtedy, gdy sam tą drogą jeszcze nie idzie. Wie, że ma do tego prawo, gdyż kocha wychowanków i zna prawdę o tym, co prowadzi ich do życia w miłości i radości. Wie również i to, że jedynie Jezus spełnia wszystkie trzy warunki bycia odpowiedzialnym wychowawcą, czyli kocha, wie, na czym polega droga błogosławieństwa oraz w każdej sytuacji pierwszy tą drogą idzie. Tylko On może powiedzieć do wychowanków: naśladujcie mnie i bądźcie do mnie podobni. Wychowawca katolicki nie pretenduje do tego, by go naśladowali jego wychowankowie, gdyż respektuje fakt, że nie zostali oni stworzeni na jego podobieństwo, lecz na podobieństwo Boga. Wychowawca mądry i miłosierny nie ma nic przeciwko temu, by jego wychowankowie stawali się mądrzejsi, dojrzałsi i szczęśliwsi od niego.

¹⁷ A. de Saint-Exupéry, *Ziemia, planeta ludzi*, PIW, Warszawa 1993, s. 106.

¹⁸ Tamże, s. 120.

¹⁹ E. Staniek zauważa, że marnotrawny syn pozostał uczciwy także wtedy, gdy znalazł się już w dramatycznie trudnej sytuacji. Nawet wtedy nie kradł, nie pożyczał, nie próbował żyć kosztem innych ludzi (por. E. Staniek, *Nowa ewangelizacja. Rekolekcje*, Kraków 1994, s. 39).